NR. 1 NIEDZIELA, 5 STYCZNIA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



DO PRACY

BAJKA

Pewnego dnia, w tem samem mieście, o tej samej godzinie i w tym samym domu urodziło się dwu chłopców.

Jeden w eleganckiem mieszkaniu na pierwszem piętrze, drugi na dole, w suterynie. Bardzo były dzieci te do siebie podobne, tak bardzo, że można je było zamienić, a rodzona matka nie poznałaby, który jest jej synem.

A jednak... zupełnie inaczej ułożyło się im życie.

Janek „z góry" miał wszystkiego więcej, niż mu było potrzeba. Z najcieńszego płótna była jego bielizna i całe jej stosy zalegały dziecinny pokój. Miał dużą i słoneczną przestrzeń, z której czerpał powietrze dla swych płuc, a przez okno widział niebo i zielone drzew wierzchołki.

Janek „z dołu" leżał w nogach matczynego łóżka, a przez okno widział brudną ulicę i szybko migające nogi przechodniów.

I tak było we wszystkiem: Janek z góry nie mógł nigdy zjeść wszystkiego, co mu podawano, Janek z dołu nie miał nigdy tyle do jedzenia, by nasycić głód.

Dla Janka z góry wyrabiano drogie zabawki, sprowadzano owoce z zagranicy, tkano prześliczne materjały. Janek z góry uczył się, bawił, chodził na spacery, Janek z dołu uczył się też trochę, pozatem pracował od najmłodszych lat, a bawił się bardzo rzadko.

Raz przyszedł do Janka z dołu pewien człowiek i tak powiedział:

„Jeśli chcesz być syty, musisz jeszcze więcej pracować. Przestań się uczyć i chodź do mnie. Tkam prześliczny materjał dla Janka z góry, trzeba mi pomocnika, bądź moim pomocnikiem".

I Janek z dołu poszedł z tym człowiekiem. I pracował dzień cały, a wieczorem był bardzo zmęczony, syty był niezawsze, a choć tkał śliczny materjał, sam miał ledwie co do okrycia.

Myśli Janek, myśli nad tem, co usłyudał się do jednego czarodzieja, który mieszkał sam, daleko od ludzi.

Przyszedł i pyta dlaczego taka nierówność na świecie?! A starzec mówi: „Obajście jednacy i ty i ten z góry, jednakoście na świat przyszli, jednako w ziemi spoczniecie. Jednako wam się wszystko na ziemi tej należy, bo co na niej jest, po równi należy do wszystkich. Ale na ziemi tej rozpanoszył się zły władca i dlatego ludzie cierpią i dlatego jeden ma za dużo, drugi za mało.

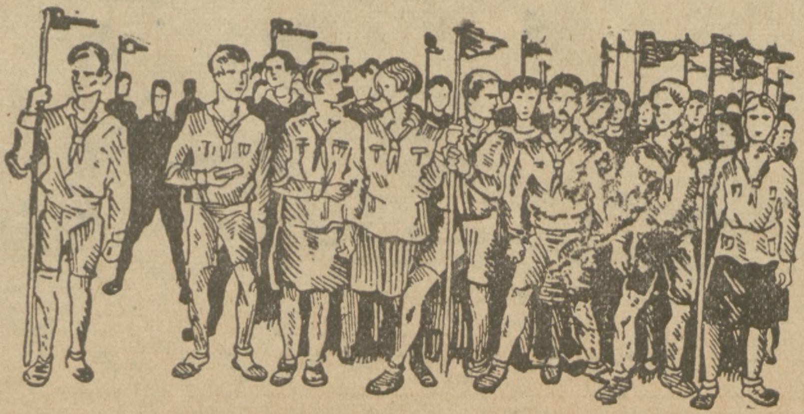
I nie będzie sprawiedliwości, ani radości na tej ziemi, póki ktoś potwora nie zabije".

Myśli Janek, myśli nad tem, co usłyszał, aż rzecze: „Że też tyle ludzi na świecie, a jednemu potworowi rady dać nie mogą?!"

„Ano" — mówi dziad — po pierwsze ludzie nań nie idą kupą, a w pojedynkę nikt takiej siły niema.

Po drugie, kto potwora — Krzywda mu na imię — chce zabić, ten musi serce czyste mimeć, jak łza.

Po trzecie, widzisz, idzie ten czy ów ową Krzywdę zabić, ale idzie nie dlatego, by ją zgładzić, by dla wszystkich znikła, a ino, by sobie użyć, by ją tylko dla siebie ugłaskać. Taki nic nie zrobi. Taki zła nie zgniecie. A potwór, jak potwór —



ciągnął starzec — „przeróżne złe sztuki zna. Tego oślepi tak, że wszystko widzi, a krzywdy ludzkiej nijak zoczyć nie może. I jakże ma z nią walczyć, kiej jej nie widzi i wciąż woła: „Nijakiej krzywdy na świecie niema". Innego znowu opęta pychą, tego omota zazdrością, tamtemu nienawiść wsączy do serca — a wszyscy tacy niezdolni są już do walki z krzywdą, bo jak ci rzekłem, czyste serce musi mieć ten, kto świat od krzywdy uwolnić pragnie. Czyste i — miłujące" — dodał.

A Janek ucieszył się bardzo: „To i nie będzie krzywdy wnet, wnet ino patrzeć" — wołał uradowany. „Są tacy, którzy zgładzą potwora. Znam takich. Poczekajcie, opowiem.

Znam takich chłopaków, co to serca czyste mają A chyba i miłujące, bo wszystkim po równi są życzliwi. Zarówno im kto gdzie mieszka, jakim mówi językiem, jaką wyznaje religję. Każdego uszanują, każdemu pomogą. Jak człowiek— to brat.

Z tymi oto chłopakami złączym się i pójdziemy na krzywdę" — zakończył.

„I zmożecie ją, to wam mówię, ja — czarodziej. Byle iść gromadą, a z wiarą a miłość do zwycięstwa zawiedzie".

***

Wrócił Janek do domu. Zwołał chłopców i postanowili zabić krzywdę. Postanowili: równość ma być na świecie i sprawiedliwość.

Ażeby móc wywalczyć to, co chcieli, postanowili nie kłócić się, nie przeprowadzać niczego gwałtem, nie wyśmiewać drugich, nie odstępować nigdy od tego, do czego się dąży.

Tak chłopcy postanowili, a ci, którzy ich znają, wierzą, że wypełnią, co postanowili.

I kiedyś... kiedyś... Janek z góry i Janek z dołu będą żyli tak samo.

Krzywda bowiem zniknie ze świata.

Jacek Górski.



Może o tem nikt z was nie wie,
że w spróchniałem starem drzewie
krasnoludek ma schronisko?
Ot, rozpalił tu ognisko,
aby rozgrzać zmarzłe ręce
i śni słodko o... wiosence.

St.

Tajemnica Mitki

(Historja, która zaczyna się w lecie, a kończy się w zimie).

Gdy Renia dostała Mitkę, miała ochotę na zupełnie inną lalkę i takiej wcale się nie spodziewała.

Mitka miała korpus z grubego płótna, wypchanego trocinami, stenbrowane na maszynie palce i śpiczastą głowę z porcelanowym kokiem. Dlatego została nazawsze tylko Mitką i nigdy nie doczekała się imienia Danusi lub Renaty, jak lalki z prawdziwemi włosami, takie co to potrafią zamykać oczy i mówią „mama — papa". Dostała też zwykłą kretonową sukienkę w niebieskie groszki.

Mitka nie lubiła się bawić ani w szkołę, ani w bale. Największą jej przyjemnością było huśtać się do góry nogami na gałęziach drzewa, lub fikać koziołki po miękkich kretowiskach. Chętnie też wylegiwała się pod schodkami ganku gdzie zawiązała miłą znajomość z kępką zbłąkanych stokrótek.

Wogóle Mitka była samodzielna i nie wymagała takich starań, jak piękną Danusia i pyszna Renata. To też zdarzało się, że całemi dniami przebywała w ogrodzie, a nawet noce spędzała poza swem wąskiem łóżeczkiem. Nikogo to nie dziwiło i nikt się tem nie przejmował, choć radzono Reni, by Mitkę ze względu na jej awanturnicze usposobienie przebrać w wąskie ubranie i nazwać Mitkiem. Renia jednak miała już o Mitce swoje własne zdanie. Według tego reninego zdania, Mitkę należało zostawić w spokoju. Dlaczego? Poprostu dlatego, że tkwiła w niej jakaś tajemnica.

Jaka? nie wiadomo. W każdym razie tajemnica ta była i należało tylko czekać chwili jej objawienia.

Aż tu... Mitka zginęła!

Co się stało?

Ano niema jej od tygodnia.

Szukała Renia sama i nie znalazła.

Wzięła do pomocy Stefka, Zbyszka i Tadzika. Szukali wszyscy czworo i nie znaleźli.

Kamień w wodę — rozstąp się ziemio.

Mamusia powiedziała wkońcu:

— Trzeba jej było pilnować...

A chłopcy: —

— ...że ją pewno cyganie porwali.

I tyle.

Mitka się nie znalazła.

Ale któregoś dnia, gdy Renia z pamięcią o biedaczce zajrzała pod schodki ganku, zobaczyła przy krzaczku zbłąkanych stokrótek okrągłe, białe jajko, pyszniące się pod kosmatym listkiem, gdzie zwykła przesiadywać Mitka.

...Czyżby?... Renia przed samą sobą nie śmiała dopowiedzieć myśli o dziwacznej przemianie lalki w śliczne, srebrzyste jajko.

Ostrożnie ujęła tajemniczą zdobycz i położywszy w pełnem słońcu na schodkach, oglądała uważnie...



Cóż? jajko jak jajko, śliczne, duże, białe, ale nie wyglądające na to, żeby było zaczarowane... Tylko skąd ono się tam wzięło?

Skąd i dlaczego?

Tego nikt nie umiał wyjaśnić, ani mamusia Reni, ani matka Stefka, Tadzika i Zbyszka, ani stara Julisia, ani nikt.

Po długiej naradzie postanowiono, że cudownie znalezione jajko podłoży się wraz ze zwykłemi jajami pod czarną kwokę.

Ta czarna kwoka od kilku dni już nie dawała spokoju. Niechno tylko ktoś wyjdzie na podwórko, już ona biegnie, pióra stroszy, skrzydła rozczapierza i „kwok! kwok! kwok!" — coś tam po swojemu tłomaczy.

Przysłuchiwała się temu Renia, przysłuchiwał się Stefek i Zbyszek i Tadzik, ale żadne z dzieci zrozumieć czarnej kwoki nie mogło. Dopiero się stara Julisia domyśliła, że kwoka kurczęta chce wodzić.

Wzięła więc kosz pleciony, a niewysoki, słomą pachnącą pod wierzch go wysłała, piórkami po wierzchu przytrząsnęła i jaj, jedno przy drugiem, kilkanaście pokładła.

— A teraz niechno Renia da to swoje znaleźne, to je tu w środek włożę, będzie mu najcieplej.

Ale mamusia poradziła Reni, aby je naznaczyła.

— Co się z niego wylęgnie, to będzie twoje własne.

Stara Julisia z uznaniem pokiwała głową:

— Ma się wiedzieć, że trza zrobić, jak pani mówi, niechno Renia na niem jakiś znaczek z atramentu postawi, to już będzie znaczne.

I Renia na cudownie znalezionem jajeczku nakreśliła maluchny, czerwony krzyżyczek.

— Galancie! — pochwaliła Julisia, uważnie wsuwając je do kosza.

Na to tylko widać czekała czarna kwoka, bo zakwokała radośnie i dalejże się na kosz gramolić! Aż się Renia przelękła, że się cały kosz na podłogę, pod komin kuchenny wywróci.

Ale się nie wywrócił.

C. d. n.

Zet.



3 krasnoludków

dostało porządnego kataru.

Nic dziwnego. Bo co to za zima w tym roku. Jednego dnia mróz, że kładź kożuch i to dobry — drugiego dnia z dachu kapie, a słońce w plecy grzeje, że i w spencerku za ciepło.

— Apsik! Apsik! — kichają krasnoludki na tę zmienną pogodę.

Ale humoru nie tracą, o nie!

— Kiedy bieda, to hoc! — powiadają sobie i skaczą wesoło, bo przecież zima taka czy owaka nie będzie trwała wiecznie.

Tylko do marca przetrzymać, tylko do marca, a w marcu hoc! hoc! w marcu przyjdzie wiosna!

K.

Karakol — Bistekol

(Z bajek flamandzkich).

C. d.

IV.

Po chorobie poszedł Karakol do lasu ścinać gałęzie. Około znanego już mu dołu spotkał lwa. Przerażony stał Karakol przed królem zwierząt.

— Czekaj mnie w tem miejscu — powiedział lew i znikł w lesie.

Miotlarz poznał króla zwierząt. Jego to uratował wówczas z dołu.

Niedługo lew powrócił.

W zębach niósł worek złotych florenów. Położył go u nóg swego zbawcy i rzekł:

— Złodzieje schowali worek pod kupą zeschłych liści.

Miotlarz podziękował drapieżnikowi i wrócił do domu.

Pieniędzy tych wystarczyło na życie Karakola z matką. Miotlarz już nie sprzedawał mioteł. Nie robił nic.

Życie bez pracy sprzykrzyło mu się szybko.

Pewnego razu siedział w lesie i ćmił fajkę. Patrzył na skaczące po drzewach i budujące gniazda ptaki. Wtem zjawił się przed nim lew.

— Nudne jest życie bez pracy — rzekł Karakol — chciałbym wędrować z tobą po całym świecie.

Lew się zgodził.

Nazajutrz Karakol pożegnał matkę, poszedł do lasu i w towarzystwie lwa wybrał się na wędrówkę.

Po drodze spotkali niedźwiedza, niedługo potem zająca. Tak chodzili po miastach, wsiach, osadach i zarabiali na kawał chleba.

Lew i niedźwiedź tańczyli, zając grał na bębnie, a Karakol zbierał od słuchaczy pieniądze.

V.

Pięć lat wędrował Karakol po świecie. Nareszcie zapragnął wrócić do swego miasta. Opuścił zwierzęta i skierował się do matki. Przywitał się, opowiedział o swoich wędrówkach i wyszedł na miasto. Miasto było przystrojone czarnemi chorągwiami. Panowała żałoba.

Karczmarz Firene Simolle stał jak dawniej we drzwiach swego hotelu. Zobaczył Karakola lecz już nie śpiewał:

Ślimak, ślimak
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

— Dlaczego w mieście panuje żałoba, — zapytał Karakol.

— Jakto, nie wiesz o naszem nieszczęściu? — zdziwił się Firene — Jutro musi zginąć córka barona Binsza, piękna Eglantina.

— Czy jest niebezpiecznie chora?

— Zdrowa i piękna, ale musi zginąć

— Dlaczego?

— Niedaleko stąd w mieście At żyje wielkolud.

— Jak się nazywa?

— Goljat. Olbrzym niezwykłej siły. Wyrywa drzewa z korzeniami. Palcami dusi lwy i niedźwiedzie. Chodzi po miastach i zbiera domy do worka; dachy zrywa bez trudu jak matka twoja zdejmuje pokrywę z rondla. Zniszczyłby wszystko, ale mieszkańcy błagają go ciągle o łaskę. Próbowano wysyłać przeciw niemu wojska. Stawał do walki zakuty w stalowe pancerze. Strzały odskakiwały od jego kirysa (zbroja na piersi i plecach). Z olbrzymim dębem w ręce wpadał na wojsko i jednem uderzeniem zabijał dziesięciu. Reszta w przerażeniu uciekała. Zmusił mieszkańców by przywieźli ziemię, usypali olbrzymią górę i obsadzili drzewami. Na szczycie tej góry musieli mu wybudować olbrzymią wieżę. Tam teraz mieszka. Żywi się z polowania i z podatków od mieszkańców. Co roku musi pożreć młodą dziewczynę. W tym roku los padł na piękną Eglantinę i jutro uroczyście odwiozą ją na górę do Goljata.

— Czy nikt nie próbował — zapytał Karakol — siłą lub zręcznością pokonać olbrzyma?

— Kto zabije olbrzyma ten weźmie Eglantinę za żonę — ogłosił baron. Nikt jeszcze nie odważył się na walkę z Goljatem.

— Czyż nie mają serca ani rozumu? — odezwał się Karakol.

— Chciałbym zobaczyć ciebie bijącego się z olbrzymem — zadrwił Firene — Istotnie! jesteś podobny do litery B i pewno jesteś chytry. Możebyś i potrafił przebiegłością pokonać Goljata.

— Niewiadomo — odezwał się Karakol. — Wielki dąb pada od uderzenia małego człowieka.

Firene zaśmiał się i drwił dalej z małego garbusa.

Karakol nie zwracał uwagi na drwiny i poszedł do domu.

VI.

Nazajutrz raniutko Karakol wstał, ubrał się, zdjął ze ściany łuk i strzały.

— Czy nie wybierasz się przypadkiem na turniej łuczny? — zapytała go matka.

— Owszem, mamusiu — odpowiedział — zdobędę nagrodę, a ty upieczesz wtenczas tort. Spędzimy czas bardzo przyjemnie.

I wyszedł do lasu.

W lesie gwizdnął, a zwierzęta się zbiegły.

Lew, niedźwiedź i zając usiedli rzędem, Karakol przemówił:

— Przyjaciele, musimy się zdobyć na bohaterski czyn. W okolicy zjawił się olbrzym. Pożera on młode dziewczęta. Cały kraj liczy na nas i czeka od nas zbawienia. Czyż nie damy mu rady we czworo...

— We czworo — odezwał się lew — Sam jeden z nim skończę.

— Nie — odparł Karakol — olbrzym jest zakuty w stalowe pancerze i jest bardzo silny. Palcami dusi lwy. Odwagą tu nic nie można zrobić, trzeba go wziąć zręcznością.

— Ja tu mogę pomóc — powiedział zając — trzeba obejrzeć jego mieszkanie, a będziemy wiedzieli co robić.

Wszyscy czterej poszli do wieży Goljata. Przed górą rozeszli się i z różnych stron na nią wstępowali.

Na szczycie zobaczyli wieżę. Zając obiegł ją prędziutko, obejrzał wszystkie miejsca, chwilkę pomyślał i coś szepnął na ucho towarzyszom.

Olbrzym tymczasem ubierał się. Wciągnął żelazne buty i nakolanki, założył karacenę (pancerz zrobiony w łuskę)...

Miał jeszcze włożyć przyłbicę na głowę...

Wtem posłyszał jakiś szmer. Spojrzał w okno i zobaczył zająca. Ten jak strzała biegał wokół wieży. Za zającem biegł niedźwiedź, za niedźwiedziem — lew. Olbrzym zanosił się od śmiechu. Tymczasem zwierzęta znowu przebiegły koło okna.

Podobało się Goljatowi to bieganie.

„Dlaczego nie miałbym skorzystać ze zwierzyny" pomyślał olbrzym. Wyszedł z wieży i stanął za drzwiami. Zwierzęta po raz trzeci przebiegały. Olbrzym wychylił się i wyciągnął długą rękę. Jedną garścią chciał pochwycić lwa, niedźwiedzia i zająca.

Wtem w powietrzu przeleciała strzała i utkwiła głęboko w oku olbrzyma. Podniósł ręce do oka i wyciągnął strzałę. Tymczasem lew wskoczył mu na szyję. Niedźwiedź złapał go za nogę i tak obaj zwalili na ziemię olbrzyma.

Runął z łoskotem jak wieża. trzy razy podnosił się razem ze zwierzętami i omal pokonał ich. Ale Karakol podbiegł do olbrzyma i zabił go jednem uderzeniem sztyletu.

C. d. n.

Spolszczył i przerobił **W. Bicz.**



RADIODUSZEK I DZIECI

Hallo! Hallo! Hallo!
Raz, drugi i trzeci...
Hallo! Hallo! Hallo!
Czy słyszycie dzieci?
Hallo! Hallo! Hallo!
Nadstawcie-no uszek,
Tutaj mówi do was...
Mały... Radioduszek!

— — — — — — —

„Ja jestem Radioduszek,
przedziwny mały gość.
Szepczę i szepczę do uszek
a nikt nie powie mi: „dość"!
Ja jestem Radioduszek,
tajemnic znam ze sto,
dla chłopców, dla dziewuszek
ciekawych, że to no!
Ja jestem Radioduszek,
co widzę, słyszę sam,
to zaraz tu przez Radio
wszyściutko mówię wam.
Czyś chłopczyk, czyś dziewuszka
słuchawki wkładaj w mig
i słuchaj Radioduszka —
co szepcze ci ten smyk:
...Ja jestem Radioduszek,
przedziwny mały gość
dla chłopców, dla dziewuszek
mam różnych nowin dość.
Choć... nie wiem: czy to dobrze?
Choć... nie wiem: czy to źle,
że nikt z was mnie nie widzi,
a każdy słyszy mnie?

— — — — — — —

Powiedzcie mi dzieciaki,
czy miły wam ten gość?
Bo może są chłopaki,
co go już mają dość?

— Ach, nie! — zakrzykną dzieci
zgodnie jak jeden mąż —
Czas z tobą milej leci,
bądź duszku z nami wciąż!

Zet.

Czy spełniłeś już swój obowiązek? Jesteś Czerwonym Harcerzem?

